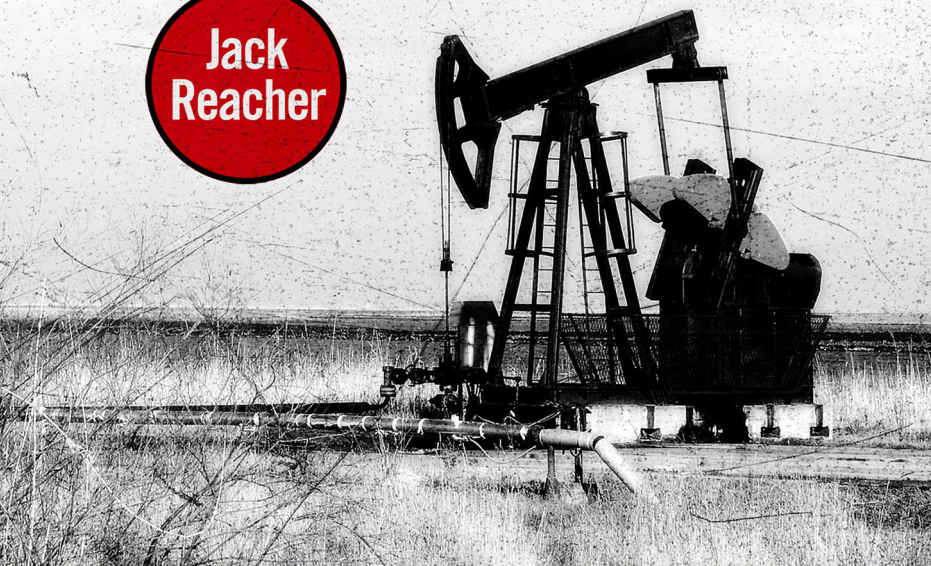


LEE CHILD

ECHO W PŁOMIENIACH

Jack
Reacher



1

Obserwatorów było trzech — dwaj mężczyźni i chłopiec. Zamiast lornetek polowych używali teleskopów. Ze względu na odległość. Ukształtowanie terenu zmusiło ich do zajęcia stanowiska prawie milę od obiektu. Bliżej się nie dało. Była to lekko sfałdowana równina z trawą, skałami i piaszczystą glebą wypalonymi przez słońce na jednakowy kolor khaki. Najbliższą bezpieczną kryjówkę znaleźli w szerokim, wysuszonym na pieprz parowie wyżłobionym przed milionami lat, kiedy panował tu inny klimat, padały ulewne deszcze, rosły paprocie i rwały wezbrane rzeki.

Mężczyźni leżeli w pyle z teleskopami przy oku, wczesnoporanne słońce mocno już przygrzewało. Chłopiec, pełzając na czworakach, donosił wodę z turystycznej chłodziarki, wypatrywał budzących się grzechotników, zapisywał w notesie komentarze. Byli tu przed pierwszym brzaskiem. Przyjechali zakurczonym pick-upem od zachodu, okrężną drogą przez odludzie. Zarzucili na samochód brudną brezentową płachtę i docisnęli jej brzegi kamieniami. Podeszli pod krawędź parowu, rozlokowali się i kiedy na wschodzie, za odległym prawie o milę czerwonym domem, pojawiło się słońce, przyłożyli do oczu teleskopy. Był piątek, ich piąty z kolei poranek na stanowisku. Konwersację ograniczali do niezbędnego minimum.

— Godzina? — warknął jeden z mężczyzn. Głos miał nosowy wskutek tego, że jedno oko zaciskał, a drugie miał szeroko otwarte.

Chłopiec spojrzął na zegarek.

— Szósta piętnaście.

— No to lada chwila — mruknął mężczyzna, nie odrywając oka od teleskopu.

Chłopiec otworzył notes i przygotował się do zapisywania tego samego, co zapisywał już od czterech dni.

— Światło w kuchni — rzucił mężczyzna.

Chłopiec zapisał. *Szósta piętnaście, zapaliło się światło w kuchni.* Kuchenne okno wychodziło na ich stronę, na zachód, a więc nawet po wejściu słońca pozostawało w cieniu.

— Sama zapaliła? — spytał chłopiec.

— Nie, jak zwykle — burknął drugi mężczyzna, mrużąc oczy.

Służąca przygotowuje śniadanie, zapisał chłopiec. Obiekt nadal w łóżku. Cienie stawały się coraz krótsze, w miarę jak słońce pięło się cal po calu po nieboskłonie. Strzelisty komin nad kuchnią czerwonego domu przywodził na myśl strzałkę zegara słonecznego. Rzucany przez niego cień przesunął się i kurczył, słońce coraz silniej grzało obserwatorów w plecy. Siódma rano, a już robiło się gorąco. O ósmej będzie upał, o dziewiątej skwar stanie się nie do zniesienia. A mieli tu spędzić cały dzień, by dopiero pod osłoną zmroku wycofać się niepostrzeżenie.

— Rozsuwają się zasłony w sypialni — powiedział drugi mężczyzna. — Wstała.

Chłopiec zapisał: *Siódma zero cztery, rozsunęły się zasłony w sypialni.*

— Teraz słuchajcie — mruknął pierwszy mężczyzna.

Niemal milę od nich włączyła się pompa głębinowa. Najpierw nastąpiło ledwo słyszalne metaliczne kliknięcie, zaraz potem ich uszu doleciało jednostajne basowe buczenie.

— Bierze prysznic — powiedział mężczyzna.

Chłopiec to zapisał. *Siódma zero sześć, obiekt wszedł pod natrysk.*

Mężczyźni zawiesili obserwację. Dopóki będzie pod prysznicem, nic się nie wydarzy. Bo i co miałyby się wydarzyć? Odłożyli teleskopy i zamrugali rażeni świecącym prosto w oczy

słońcem. Po sześciu minutach pompa głębinowa wyłączyła się z kliknięciem. Cisza, jaka zaległa, wydała się głośniejsza niż wcześniejsze, ledwie słyszalne buczenie. Chłopiec zapisał: *siódma dwanaście, obiekt wyszedł spod prysznica*. Mężczyźni znowu sięgnęli po teleskopy.

— Chyba się ubiera — mruknął drugi mężczyzna.

Chłopiec zachichotał.

— Widzisz ją gołą?

Drugi z mężczyzn odpełził dwadzieścia stóp na południe. Miał stamtąd lepszy widok na tyły domu, na które wychodziło okno sypialni.

— Wstydzilibyś się — warknął.

Chłopiec zapisał: *Siódma piętnaście, prawdopodobnie się ubiera*. A potem: *Siódma dwadzieścia, prawdopodobnie jest już na dole, prawdopodobnie je śniadanie*.

— Wróci na górę umyć zęby — powiedział.

Mężczyzna po lewej szerzej rozstawił łokcie.

— Jak nic — mruknął. — Czyścioszka.

— Znowu zasuwają zasłony w sypialni — zameldował drugi mężczyzna.

W lecie praktykowało się to powszechnie na zachodzie Teksasu, zwłaszcza jeśli okna sypialni, tak jak to, wychodziły na południe. No, chyba że ktoś życzył sobie spędzić następną noc w pokoju nagrzanym jak piekarnik.

— Chwila przerwy — powiedział mężczyzna. — Dolar do dziesięciu, że wyjdzie zaraz do stajni.

Nikt nie podjął zakładu, bo jak dotąd cztery razy na cztery tak właśnie robiła, a obserwatorom płacono za wyłapywanie tego rodzaju prawidłowości.

— Otwierają się drzwi od kuchni.

Chłopiec zapisał: *siódma dwadzieścia siedem, otwierają się drzwi od kuchni*.

— Wychodzi.

Wyszła w kraciastej, niebieskiej sukience do kolan, która odsłaniała jej ramiona. Włosy miała związane w kok. Były jeszcze wilgotne po prysznicu.

— Jak się nazywają takie sukienki? — spytał chłopiec.

— Na ramiączkach — powiedział mężczyzna z lewej.

Siódma dwadzieścia osiem, wychodzi, niebieska sukienka na ramiączkach, idzie do stajni, zapisał chłopiec.

Przeszła przez szerokie na jakieś siedemdziesiąt jardów podwórko, ostrożnie stawiając kroki na nierównym, spieczonym przez słońce gruncie. Otworzyła drzwi stajni i zniknęła w mrocznym wnętrzu.

Chłopiec zapisał: *siódma dwadzieścia dziewięć, obiekt w stajni.*

— Jaka temperatura? — zapytał mężczyzna po lewej.

— Ze trzydzieści stopni — powiedział chłopiec.

— Będzie burza. Przy takim upale to niewyjęte.

— Jest jej transport — zameldował mężczyzna po prawej.

Na szosie, kilka mil na południe od nich, pojawił się tuman kurzu. Pojazd sunął wolno na północ.

— Wychodzi — powiedział mężczyzna po prawej.

Siódma trzydzieści dwie, obiekt wychodzi ze stajni, zapisał chłopiec.

— Służąca w drzwiach — zameldował mężczyzna.

Obiekt zatrzymał się przy drzwiach od kuchni i wziął od służącej pudełko z lunchem. Było z jasnoniebieskiego plastiku, z postacią z kreskówki na boku. Skórę miała zaróżowioną i wilgotną od upału. Schyliła się, żeby poprawić podkolanówki, potem pobiegła do furtki i wyszła przez nią na pobocze szosy. Szkolny autobus zwolnił, zatrzymał się i poprzez ciche powar kiwanie pracującego na jałowym biegu silnika obserwatorzy usłyszeli wyraźnie, jak z sykiem otwierają się drzwi. Zalśniły w słońcu chromowane poręcze. Chmura spalin z diesla dryfo wała ospale w nieruchomym, nagrzanym powietrzu. Obiekt postawił pudełko z lunchem na stopniu, po czym uchwycił się lśniących poręczy i wdrapał za nim do autobusu. Drzwi zamknęły się i obserwatorzy zobaczyli jej jasną główkę przesuwającą się na poziomie dolnych krawędzi okien. Silnik zawarczał głośniej, zgrzytnął wrzucany bieg i autobus potoczył się dalej, ciągnąc za sobą pióropusz kurzu.

Siódma trzydzieści sześć, obiekt odjeżdża autobusem do szkoły, zapisał chłopiec.

Odprowadzał wzrokiem autobus oddalający się szosą biegnącą prosto jak strzełił na północ, dopóki ten na horyzoncie nie rozplynął się w nagrzanym powietrzu w migotliwy żółty miraż. Wtedy zatrzasnął notes i zabezpieczył go gumką recepturką. Służąca weszła do kuchni czerwonego domu i zamknęła za sobą drzwi. Obserwatorzy odłożyli teleskopy i postawili kołnierze, chroniąc karki przed słońcem.

Siódma trzydzieści siedem, piątkowy poranek.

Siódma trzydzieści osiem.

• • •

O siódmej trzydzieści dziewięć, ponad trzysta mil na północny wschód stamtąd, Jack Reacher opuścił przez okno swój pokój motelowy. Minutę wcześniej szcztokował zęby w łazience. A jeszcze minutę wcześniej otworzył drzwi pokoju, żeby sprawdzić na termometrze temperaturę. Zostawił je otwarte. Szafa ścienna w korytarzyku miała lustrzane drzwi, a w łazience było lustro do golenia na regulowanym wysięgniku. I jakiś optyczny traf sprawił, że zobaczył w tym lustrze czterech mężczyzn wysiadających z samochodu i kierujących się do motelowej recepcji. Łut szczęścia, ale ludziom takim jak Jack Reacher szczęście sprzyjało ponadprzeciętnie.

Był to policyjny wóz patrolowy. Miał na drzwiczkach emblemat, który dzięki słonecznemu porankowi oraz podwójnemu odbiciu można było bez problemu podziwiać. Na górze napisane było *City Police*, poniżej pysznił się wymyślny medalion, a napis pod spodem informował: *Lubbock, Texas*. Cała wysiadająca z wozu czwórka była w mundurach. Grube pasy mieli obwieszane rewolwerami, krótkofalówkami, pałkami i kajdankami. Trzech po raz pierwszy widział na oczy, czwartego znał. Był to wysoki, zwalisty facet z jasnymi, ostrzyżonymi na zapałkę włosami i nalaną czerwoną gębą. Dzisiaj tę nalaną czerwoną gębę przesłaniały częściowo lśniące aluminiowe łuki obejmujące strzaskany nos. Złamany palec prawej dłoni facet też miał na aluminiowej szynie i zabandażowany.

Jeszcze wczoraj wieczorem gościu nos miał cały, a palec w najlepszym porządku. Reacherowi do głowy wtedy nie przy-

szło, że to glina. Siedział w barze i robił wrażenie ostatniego palanta. Reacher zaszedł tam, bo słyszał, że akurat chałturzy niezły zespół. Zespół był do bani, Jack wycofał się więc do barku, usadowił na stołku i zapatrzył w ekran telewizora z wyłączoną fonią, zawieszoną wysoko na ścianie i nastawionego na kanał sportowy. W lokalu było tłoczno i gwarno, siedział więc wklonowany między jakąś kobietę po prawej i zwałistego faceta ostrzyżonego na zapalkę po lewej. Znudzony transmisją sportową, zaczął się rozglądać po sali. I rozglądając się tak, zahaczył w pewnym momencie wzrokiem o sąsiada.

Gość był w białym podkoszulku bez rękawów i obgryzał kurze skrzydełka. Skrzydełka były tłuste, a gość fleja. Tłuszcz ze skrzydełek ściekał mu po brodzie i palcach, i skapywał na przód podkoszulka. Plama rozrastała się szybko i zaczynała przyciągać oko. Ale barowa etykieta nie pozwala napawać się zbyt długo takimi widokami. Facet przechwycił spojrzenie Reachera.

— Co się gapisz? — zapytał.

Pytanie wywarczane zostało agresywnym tonem, ale Reacher puścił je mimo uszu.

— Co się gapisz? — powtórzył facet.

Reacher wiedział z doświadczenia, że jeśli zadają podobne pytanie raz, to może wszystko rozejdzie się jeszcze po kościach. Ale jeśli pytają po raz drugi, to szykuje się rozróżba. Sęk w tym, że brak odpowiedzi uznają zazwyczaj za dowód, że strach cię obleciał. Że są górą. Inna sprawa, że nie dopuszczają cię do głosu.

— Na mnie się gapisz? — dociekał facet.

— Nie — mruknął Reacher.

— Na mnie nie będziesz się gapił, koleś — warknął facet.

Z tonu, jakim wypowiedział „koleś”, Reacher wywnioskował, że ma zapewne do czynienia z brygadzystą z tartaku, ewentualnie z plantacji bawełny. Czy skąd tam jeszcze, gdzie mogła się utrzymywać z pracy rąk siła robocza z Lubbock i okolic, kultywując jakiś zawód mający tutaj wielopokoleniową tradycję. Słowo „glina” z całą pewnością przez myśl mu nawet nie przeszło. No ale był w Teksasie stosunkowo nowy.

— Nie gap się na mnie — kontynuował facet.

Reacher odwrócił głowę i spojrzał na niego. Nie żeby zaraz gościa prowokować. Żeby go tylko otaksować. Życie jest pełne niespodzianek i miał na uwadze, że pewnego pięknego dnia stanie oko w oko z równym sobie pod względem warunków fizycznych. Z kimś, kogo widok być może go zdeprymuje. Ale spojrzawszy, stwierdził, że ten dzień jeszcze nie nadszedł. Uśmiechnął się więc tylko i odwrócił wzrok.

A wtedy facet dźgnął go paluchem.

— Powiedziałem, żebyś się na mnie nie gapił — powiedział i dźgnął go paluchem po raz drugi w to samo miejsce.

Palec był mięsisty jak parówka, a na dodatek cały w tłuszczu. Zostawił na koszuli Reachera wyraźny ślad.

— Nie rób tego więcej — ostrzegł Reacher.

Facet znowu go dźgnął.

— Bo co? — spytał. — Może chcesz podjąć jakieś kroki?

Reacher spuścił wzrok na przód swojej koszuli. Ślady były już dwa. Facet znowu dźgnął go palcem. Cztery dźgnięcia, trzy ślady. Reacher zacisnął zęby. Cóż w końcu znaczą trzy tłuste plamy na koszuli? Zaczął odliczać powoli do dziesięciu. Zanim doszedł do ośmiu, facet znowu go dźgnął.

— Głuchy jesteś? — wycedził przez zacisnięte zęby Reacher. — Powiedziałem, żebyś tego nie robił.

— Może chcesz podjąć jakieś kroki?

— Nie — odparł Reacher. — Nie chcę. Proszę tylko, żebyś przestał to robić.

Facet uśmiechnął się.

— No toś zasrana kupa gówna.

— Niech ci będzie — mruknął Reacher. — Tym bardziej mnie nie dotykaj.

— Bo co? Co mi zrobisz?

Reacher podjął odliczanie. *Osiem, dziewięć...*

— Może wyjdziemy? — spytał facet.

Dziesięć.

— Dotknij mnie jeszcze raz, to ci odpowiem — rzekł Reacher. — Ostrzegałem cię już cztery razy.

Facet uspokoił się na sekundę. Potem, a jakże, znów zaczął

swoje. Reacher, przechwyciwszy jego palec w locie, uniósł go i docisnął do grzbietu dłoni, łamiąc przy pierwszym kłykciu jak zapalną. A ponieważ był już nie na żarty wkurzony, strzelił jeszcze faceta bykiem w tę nalaną facjatę. Cios był błyskawiczny, dobrze wymierzony, ale zadany z umiarkowaną siłą. Nie wypada masakrować człowieka za cztery tłuste plamy na koszuli. Odchylając się, żeby zrobić delikwentowi miejsce na upadek, Reacher potracił plecami kobietę po swojej prawej.

— Przepraszam panią — powiedział grzecznie.

Kobieta kiwnęła z roztargnieniem głową. Otumaniona gwarem, skoncentrowana na swoim drinku, nie zwracała zupełnie uwagi, co się wokół dzieje. Zwalisty facet zsunął się w milczeniu ze stołka i padł z głuchym łomotem na podłogę. Reacher przekręcił go nogą na bok, po czym wsunął mu czubek buta pod brodę i odchylił nieco w tył głowę, żeby udroźnić drogi oddechowe. Załogi karetka nazywają to pozycją boczną bezpieczną. Chroni nieprzytomnego przed zadławieniem się.

Następnie zapłacił za swoje drinki i wrócił do motelu, nie myśląc już o facecie. Dopiero rankiem ten sam mu o sobie przypomniał, pojawiając się w łazienkowym lusterku w policyjnym mundurze. Reacher z miejsca wprowadził swój umysł na najwyższe obroty.

Przez pierwszą sekundę obliczał kąty padania i odbicia światła, zadając sobie pytanie: jeśli ja go widzę, to czy on też mnie może zobaczyć? Wyszło mu, że owszem, może. Jeśli tylko spojrzy we właściwą stronę, czego na razie nie zrobił. Następną sekundę strawił, rugając się w duchu. Że też nie zinterpretował jak należy wyraźnych sygnałów. A były takie. No bo kto przy zdrowych zmysłach poszturchiwałby człowieka jego postury, jeśli nie byłby pewny, że chroni go jakiś tam immunitet? Pewny jakiejś tam wyimaginowanej nietykalności? Że też nie dało mu to do myślenia.

Co robić? Facet jest gliną na swoim terenie. A on, Reacher, łatwo rozpoznawalnym celem. Chociażby po tych czterech tłustych plamach na koszuli i świeżym guzie na czole. Na pewno znaleźliby się jacyś fachowcy od medycyny sądowej,

którzy dopasowaliby kształt tego ostatniego do kości w nosie faceta.

Co robić? Rozjuszony, żądny zemsty gliniarz może zależeć człowiekowi za skórę. I to jak zależeć. Rojny publiczny areszt, to niewyjęte, może jakaś zabłąkana kulka, na pewno zabawa w czterech na jednego w ustronnej celi gdzieś na tyłach posterunku, gdzie nie można się bronić, bo człowiekowi zaraz postawią dodatkowe zarzuty. Potem cały worek kłopotliwych pytań, tym bardziej kłopotliwych, że Reacher z przyzwyczajenia nie nosił przy sobie żadnego dokumentu tożsamości ani w ogóle niczego poza szczoteczką do zębów i paroma tysiącami dolarów w gotówce w kieszeni spodni. Zostałby jak nic uznany za osobnika podejrzanego. Prawie na pewno oskarżony o czynną napaść na przedstawiciela prawa. Jak spod ziemi zmaterializowałyby się cała rzesza świadków przysięgających na wszystkie świętości, że była to napaść bandycka i niczym niesprowokowana. Mógłby zostać osądzony, skazany i osadzony. Mógłby trafić pod celę siedem na dziesięć stóp w jakimś przybytku o zaostrozonym rygorze. A to ze zrozumiałych względów wcale mu się nie uśmiechało.

Najlepiej zatem będzie po angielsku się stąd oddalić. Schował szczoteczkę do zębów do kieszeni, przeszedł przez pokój i otworzył okno. Odpiął siatkowy ekran, wypchnął go i opuścił na ziemię. Przelazł przez parapet, zamknął okno, wcisnął na miejsce ekran i ruszył przez pusty parking ku najbliższej ulicy. Tam skręcił w prawo i szedł, dopóki nie zasłonił go niski budynek. Rozglądał się za autobusem. Żaden nie nadjeżdżał. Rozglądał się za taksówką. Jak wyżej. Nie pozostawało mu nic innego, jak tylko wystawić rękę i unieść kciuk. Szacował, że ma dziesięć minut na złapanie okazji, zanim tamci skończą w motelu i zaczną krążyć po ulicach. Dziesięć, góra piętnaście minut.

A stąd wniosek, że nic z tego nie będzie. Nie da rady. Siódma trzydzieści dziewięć rano, a na słupku już trzydzieści stopni. Żaden kierowca nie zatrzyma się w taki upał. Żaden nie uchyli drzwiczek na tyle, by wpuścić go do środka, nie wspominając już o wcześniejszym opuszczeniu szyby, w celu przekonsul-

towania zgodności kierunków podróży. Wszystko wskazywało na to, że ewakuacja się nie powiedzie. Wykluczone. Był o tym tak głęboko przekonany, że zaczął planować inne wyjścia z sytuacji. Ale mylił się. Ten dzień obfitował w niespodzianki.

• • •

Zabójców było troje — dwaj mężczyźni i kobieta. Stanowili jedyny w swoim rodzaju zespół zawodowców z siedzibą w Los Angeles. Skontaktować można się było z nimi poprzez pośrednika mieszkającego w Dallas i drugiego łącznika z Vegas. Działali w branży od dziesięciu lat i byli bardzo dobrzy w swojej robocie, czyli w dyskretnym rozwiązywaniu problemów w dowolnym zakątku południowego zachodu, odbieraniu honorarium i podejmowaniu się podobnych zleceń, ilekroć ktoś ich o to poprosił. Dziesięć lat i najmniejszej wpadki. Zgrana ekipa. Dokładna, z inwencją, perfekcyjna. Najlepsza w swoim hermetycznym małym światku. I idealnie do niego przystosowana. Byli sympatyczni, nijacy, biali, anonimowi. Widziani razem wyglądaliby na pracowników salonu sprzedaży kserokopiarek w drodze do centrali na szkolenie.

Tylko że razem widywały ich jedynie ofiary. Podróżowali osobno. Jedno zawsze samochodem, dwoje pozostałych samolotami, zawsze różnymi trasami. Za kierownicą siadał zawsze jeden z mężczyzn, bo nierzucanie się w oczy było ich zasadą, a kobieta pokonująca długie trasy samochodem nieco łatwiej zapada w pamięć niż mężczyzna. Samochód był zawsze wypożyczony, zawsze w hali przylotów największego w Los Angeles lotniska LAX, bo nie ma na świecie punktów wynajmu samochodów bardziej niż tam obleganych. Zawsze był to zwyczajny rodzinny sedan, bezpłatowy samochód. Prawo jazdy i karta kredytowa wykorzystywane do dokonania transakcji zawsze były prawdziwe, wystawione w jakimś odległym stanie na osobę, która nigdy nie istniała. Kierowca czekał przed terminalem przylotów i ustawiał się w kolejce dopiero wtedy, kiedy do hali bagażowej wylewał się tłum pasażerów z jakiegoś zatłoczonego samolotu. Stawał się wtedy jedną z setek twarzy. Był niski, ciemnowłosy i niepozorny, z zaferowaną jak wszyscy

miną ciągnął za sobą walizkę na kółkach, przez ramię przerzucił podręczny bagaż.

Wypełnił przy stanowisku agencji wynajmu formularz, dojechał autobusem na firmowy parking i odnalazł przydzielony mu wóz. Załadował swoje torby do bagażnika, okazał parkingowemu dokumenty i wyjechał w słoneczny blask. Przez czterdzieści minut krążył obwodnicami wokół śródmieścia, upewniając się, czy nie jest śledzony. Potem skręcił w West Hollywood i zatrzymał się przed zamkniętym na kłódkę garażem w zaułku za sklepem z damską bielizną. Zostawił silnik na chodzie, otworzył drzwi garażu, potem bagażnik i wymienił walizkę na kółkach i torbę z podręcznym bagażem na dwie duże walizy z czarnego nylonu. Jedna z nich była bardzo ciężka. Ta ciężka waliza stanowiła powód, dla którego, zamiast korzystać z usług linii lotniczych, jeździł samochodem. Zawierała przedmioty, które lepiej trzymać z dala od lotniskowych skanerów.

Zamknął z powrotem garaż i pojechał Santa Monica Boulevard na wschód, by skręcić z niego na południe w Sto Pierwszą, a potem znowu na wschód w Dziesiątą. Poprawił się w fotelu kierowcy — grunt to wygoda, bo do Teksasu dwa dni jazdy. Nie był palaczem, ale co jakiś czas zapalał papierosa i trzymając go między palcami, strzepywał popiół gdzie popadnie — na dywaniki, na deskę rozdzielczą, na kierownicę. Niedopałki gasił w popielniczce. Zmusi to agencję wynajmu do bardzo dokładnego odkurzenia zwróconego wozu, spryskania wnętrza odświeżaczem powietrza i przetarcia winylu płynem czyszczącym. W ten sposób usunięte zostaną wszelkie jego ślady, z odciskami palców włącznie.

Drugi z mężczyzn również już ruszył w drogę. Był od pierwszego wyższy, potężniej zbudowany i miał jaśniejsze włosy, ale niczym szczególnym się nie wyróżniał. Zjawił się na LAX w porze wieczornego szczytu i wykupił bilet do Atlanty. Wylądowawszy tam, zamienił portfel z dokumentami na jeden z pięciu, które woził ze sobą w bagażu podręcznym, i już jako zupełnie inny człowiek wykupił kolejny bilet do Dallas-Fort Worth.

Kobieta wyruszyła w podróż dzień później. Przysługiwał jej ten przywilej, bo przewodziła zespołowi. Była ciemną blondynką w średnim wieku, średniego wzrostu i tuszy. Wyróżniała ją jedynie to, że zarabiała na życie zabijaniem ludzi. Samochód zostawiła na długoterminowym parkingu pod LAX, co nie stwarzało żadnego zagrożenia, bo wóz zarejestrowany był na noworodka z Pasadeny, który przed trzydziestu laty zmarł na odrę. Dojechała lotniskowym autobusem do terminalu, wykupiła bilet, płacąc sfałszowaną kartą MasterCard, i przeszła przez bramkę, okazując autentyczne nowojorskie prawo jazdy ze zdjęciem. Na pokład samolotu wkraczała mniej więcej w tym samym czasie, kiedy kierowca rozpoczynał swój drugi dzień jazdy.

Pierwszego dnia, po drugim tankowaniu, zjechał z autostrady między wzgórz Nowego Meksyku, zatrzymał się na odludnej gruntowej drodze, przykucnął w chłodnym, rozrzedzonym powietrzu i zmienił tablice rejestracyjne samochodu z kalifornijskich na arizońskie, które wyjął z cięższej walizy. Potem wrócił na autostradę, przejechał nią jeszcze godzinę, by następnie skręcić w boczną szosę, przy której znalazł motel. Zapłacił gotówką, podał adres w Tucson i pozwolił recepcjonście przepisać do karty meldunkowej numer z arizońskiej tablicy rejestracyjnej.

Przespał sześć godzin w klimatyzowanym pokoju i z samego rana był już znowu w trasie. Do Dallas-Fort Worth dotarł pod wieczór drugiego dnia i zostawił wóz na długoterminowym parkingu lotniska. Zabrał z bagażnika walizy i lotniskowym autobusem dojechał do hali odlotów. Stamtąd schodami ruchomymi zjechał od razu do hali przylotów i ustawił się w kolejce do stanowiska Hertza. Do Hertza, bo ta agencja wynajmu samochodów miała w ofercie fordę, a jemu potrzeby był crown victoria.

Wylegitymował się prawem jazdy z Illinois i wypełnił formularz. Potem pojechał autobusem na parking Hertza i odnalazł swój wóz. Był to typowy crown vic w kolorze szary metalik, ani ciemny, ani jasny. O taki mu właśnie chodziło. Załadował walizy do bagażnika i podjechał pod motel sąsiadujący z nowym

stadionem baseballowym przy szosie z Fort Worth do Dallas. Zameldował się, okazując to samo prawo jazdy z Dallas, zjadł i przespał się kilka godzin. Obudził się wcześniej i spotkał ze swoimi partnerami w upalny poranek przed motelem dokładnie w tym samym momencie, kiedy ponad czterysta mil stamtąd, w Lubbock, Jack Reacher po raz pierwszy wystawiał kciuk.

• • •

Drugą niespodzianką, po tej z pojawieniem się gliniarza, było to, że złapał okazję w niespełna trzy minuty. Nie zdążył się nawet spociec. Koszulę miał wciąż suchą. Trzecią niespodzianką był fakt, że kierowcą, który się przy nim zatrzymał, okazała się kobieta. Czwartą i największą ze wszystkich niespodzianką był temat, na jaki zesłała konwersacja, którą siłą rzeczy nawiązali.

Od dobrych dwudziestu pięciu lat podróżował stopem po tyłu krajach, że nie tak łatwo byłoby mu je wszystkie wymienić z pamięci, i nie zdarzyło mu się jeszcze, żeby trzy minuty po wystawieniu kciuka sadowić się już w samochodzie. Jako sposób na przemieszczanie się autostop zdychał. Reacher doszedł do tego wniosku na podstawie własnego doświadczenia. Kierowcom zawodowym zabierania łebków zabraniały warunki ubezpieczenia, a prywatni coraz bardziej się bali. Bo licho cię tam wie, czyś aby nie jaki psychol. A już Reacher miał pod tym względem problemy ponadprzeciętne, zwłaszcza teraz. Daleko mu było do eleganckiego, zadbanego, ugrzecznionego facecika. Posturę miał olbrzyma — sześć stóp pięć cali wzrostu, atletyczna sylwetka, dwieście pięćdziesiąt funtów żywej wagi. Ludzie się go bali. Trzymali od niego z dala. A teraz na dokładkę czoło zdobił mu świeży guz. I dlatego tak go zaskoczyły te trzy minuty.

I ta kobieta za kierownicą. Istnieje niepisany ranking szans na złapanie okazji, oparty na czymś w rodzaju podświadomej oceny ryzyka. Otwiera ten ranking młoda dziewczyna, którą w zasadzie zabierze każdy, nawet podszyty tchórzem, podtusiały mężczyzna, bo gdzie tu niebezpieczeństwo? Chociaż ostatnio, od kiedy niektóre siuśmajtki wycwaniły się w sztuce

naciągania i żądają setek dolarów za odstąpienie od oskarżenia o molestowanie, nawet w tej kategorii zrobiło się trudniej. Tak czy owak ranking zamykał niezbyt zadbany chłop na schwał, a już nie do pomyslenia było, żeby zatrzymała się przed takim elegancka, atrakcyjna kobieta w drogim coupé. A jednak zatrzymała się. Po trzech minutach.

Z wystawioną w bok ręką, unosząc wymownie kciuk, oddalał się długimi krokami na południowy zachód, byle dalej od motelu. Słońce prażyło go w plecy, mało co widział w galimatiasie postrzępionych porannych cieni, aż tu nagle, z lepkiem kłaskaniem szerokich opon na rozgrzanym asfalcie coś się obok niego zatrzymało. Samochód był duży, biały, poraziło go słońce odbijające się od maski. Zatrzymał się osłepiony i usłyszał cichy szum opuszczanej elektrycznie szyby. Siódma czterdzieści dwie. Piątkowy poranek.

— Dokąd? — zawołał kobiecie głos tonem pasującym bardziej do taksówkarza niż osoby prywatnej.

— Gdzie oczy poniosą — odburknął.

I od razu tego pożałował. Palnął głupstwo, bo niepodanie konkretnego celu podróży pogarsza jeszcze sprawę. Ludzie uznają takiego osobnika za łązę, stają się podejrzliwi i zaczynają się zastanawiać, czy uda im się go pozbyć. Że przyczepi się taki jak rzep i będzie chciał z nimi jechać do domu. Ale ta kobieta kiwnęła tylko głową.

— Rozumiem — powiedziała. — Jadę na Pecos.

Zawahał się zaskoczony. Kobieta, wychylając się zza kierownicy, patrzyła na niego przez szybę wyczekująco.

— Pasuje — zdecydował.

Zszedł z krawężnika, otworzył drzwiczki i wsunął się na obity skórą fotel. W środku było jak w zamrażarce. Klimatyzacja pracowała na maksa i odniósł wrażenie, że siada na bryle lodu. Zatrzasnął za sobą drzwiczki, a ona zasunęła przyciskiem szybę.

— Dzięki — mruknął. — Nawet pani nie wie, jak jestem wdzięczny.

Nic nie powiedziała. Machnęła tylko ręką i obejrzała się przez ramię, przygotowując do włączenia do ruchu. Ludzie

mają swoje powody, by zabierać autostopowiczów, i to najrozmaitsze. Jedni sami w młodości tak podróżowali, a po ustakowaniu się chcą zobaczyć, jak to wygląda od drugiej strony. Inni z natury są życzliwi. Jeszcze innym doskwiera samotność i po prostu chcą pogadać.

Jeśli jednak tej kobiecie chodziło nawet o to ostatnie, to nie śpieszyła się z zagajeniem rozmowy. Przepuściła kilka ciężarówek i ruszyła za nimi bez słowa. Reacher rozejrzał się po samochodzie. Był to cadillac — dwudrzwiowy, ale długi jak żaglówka i bardzo bajerancki. Mniej więcej dwulatek, ale wychuchany. Skóra koloru starych kości, przyciemniane szyby koloru butelek po francuskim winie. Na tylnym siedzeniu leżał czarny notes, chyba z plastikową okładką, a obok mała aktówka z cieleńcej skóry zasuwana na zamek błyskawiczny. Notes nie miał napisów, aktówka była z tych, które już w chwili zakupu wyglądają na używane. Była otwarta i wypchana plikiem papierów, podobne widuje się w kancelariach prawniczych.

— Niech pan sobie cofnie fotel — odezwała się kobieta. — Będzie miał pan więcej miejsca na nogi.

— Dzięki — mruknął znowu.

Wypatrzył na drzwiczkach przyciski w kształcie poduszek. Pomanipulował nimi i silniczki mechanizmu z cichym buczeniem odsunęły w tył fotel i odchyliły oparcie. Potem opuścił jeszcze siedzisko, żeby jak najmniej było go widać z zewnątrz. Poczuł się przez chwilę jak na fotelu u dentysty.

— No, już lepiej — orzekła kobieta. — I wygodniej.

Sama była niska, więc fotel miała przysunięty do kierownicy i uniesiony. Zmienił pozycję tak, żeby mieć ją w polu widzenia, ale nie patrzeć na nią bezpośrednio. Była niska, szczupła, śniada, drobnej kości. Słowem, chucherko. Góra sto funtów wagi, jakieś trzydzieści lat. Długie, falujące, czarne włosy, czarne oczy, małe, białe ząbki pojawiające się, kiedy rozciągała wargi w półuśmiechu. Chyba Meksykanka, ale nie z tych, co przeprowadzają się wpływ przez Rio Grande w poszukiwaniu lepszego życia. Przodkowie tej kobiety żyli sobie lepiej od setek lat. To było widać. Miała to w genach. Coś z azteckiej księżniczki. Prosta

bawełniana sukienka w pastelowy deseń. Nic specjalnego, ale chyba swoje kosztowała. Bez rękawów i kończąca się powyżej kolan. Ramiona i nogi smagłe i gładkie, jak wypolerowane.

— To gdzie pana wysadzić? — spytała.

Urwała i uśmiechnęła się szerzej.

— Nie, już o to pytałam. A pan sam nie wiedział.

Miała akcent rodowitej Amerykanki, może tylko bardziej zachodni niż południowy. Trzymała kierownicę oburącz i Reacher widział pierścionki na palcach. Prosta obrączka ślubna i coś platynowego z dużym diamentem.

— Wszystko mi jedno — mruknął. — Gdzie pani wygodniej.

Uśmiechnęła się znowu.

— Ucieka pan przed czymś? Czyżbym zabrała niebezpiecznego zbiega?

Ten uśmiech świadczył, że pytanie nie zostało zadane poważnie i Reachera zastanowiła jej niefrasobliwość. Biorąc pod uwagę okoliczności, niewiele się pomyliła. Ryzykowała. Właśnie tego rodzaju ryzyko zabijało sztukę podróżowania auto-stopem.

— Eksploruję — mruknął.

— Teksas? Teksas już dawno odkryty.

— W sensie turystycznym — sprecyzował.

— Nie wygląda pan na turystę. Turyści noszą poliestrowe sportowe garnitury i przyjeżdżają do nas autokarami.

Uśmiechnęła się znowu. Miała ładny uśmiech. Wyglądała na pewną siebie, opanowaną i subtelną do granic elegancji. Elegancka Meksykanka w drogiej kiece, najwyraźniej elokwentna. Jeżdżąca cadillakiem. Powstydził się nagle swoich zdawkowych odpowiedzi, potarganych włosów, zarostu, poplamionej koszuli i wygniecionych spodni khaki. I sporego guza na czole.

— Pani gdzieś tu mieszka? — zapytał, bo powiedziała: „turyści przyjeżdżają do nas autokarami”, a czuł, że wypada podtrzymać rozmowę.

— Na południe od Pecos — odparła. — Ponad trzysta mil stąd. Mówiłam, że tam jadę.

— Nigdy tam nie byłem — mruknął.

Zatrzymała się na światłach. Kiedy się zmieniły, przecięła wielkie skrzyżowanie, trzymając się prawego pasa ruchu. Obserwował jej udo, kiedy naciskała pedał gazu. Przygryzała dolną wargę. Mrużyła oczy. Była czymś wyraźnie zdenerwowana, ale się kontrolowała.

— I zeksplorował pan Lubbock? — spytała.

— Widziałem pomnik Buddy Holly’ego.

Zerknęła na radio, tak jakby pomyślała: facet lubi muzykę, może mu coś puścić.

— Lubi pan Buddy Holly’ego? — spytała.

— Niespecjalnie — odparł Reacher. — Za mdły, jak na mój gust.

Kiwnęła głową.

— Też tak myślę. Ritchie Valens był lepszy. On też pochodził z Lubbock.

Teraz głową kiwnął Reacher.

— Widziałem go w Alei Sławy.

— Długo bawił pan w Lubbock?

— Jeden dzień.

— I teraz rusza pan dalej.

— Zgodnie z planem.

— Gdzie oczy poniosą — zażartowała.

— Zgodnie z planem — powtórzył.

Minęli słupek z małą blaszaną tablicą wytyczającą granicę miasta. Reacher uśmiechnął się pod nosem. Na emblemacie zdobiącym drzwiczki wozu patrolowego napisane było *City Police* — policja miejska. Odwrócił głowę i obserwował przez chwilę pozostające w tyle niebezpieczeństwo.

• • •

Trójka zabójców zajęła miejsca w crown victorii. Wysoki, jasnowłosy mężczyzna usiadł za kierownicą, niski, ciemnowłosy, zmęczony dwudniową podróżą, w fotelu pasażera. Kobieta usadowiła się z tyłu. Wyjechali z motelowego parkingu, na międzystanowej I-20 przyśpieszyli. Zostawiali za sobą Dal-

las, zdążając na zachód, w kierunku Fort Worth. Żadne się nie odzywało. Przytłaczał ich ogrom Teksasu. Kobieta, przygotowując się do akcji, czytała przewodnik i dowiedziała się z niego, że stan ten zajmuje siedem procent powierzchni Ameryki i jest większy od większości krajów europejskich. To nie zrobiło na niej specjalnego wrażenia. Każdy wiedział, że Teksas jest bardzo duży. Ale przewodnik podawał również, że od granicy do granicy Teksas jest szerszy, niż wynosi odległość z Nowego Jorku do Chicago. Ta informacja wrażenie już zrobiła. I tłumaczyła, dlaczego muszą przejechać taki szmat drogi, żeby dostać się z jednego położonego na jego terytorium miejsca w inne.

Na szczęście samochód był cichy, klimatyzowany i wygodny, stwarzał warunki do wypoczynku lepsze niż niejeden pokój motelowy. A czasu do zabójstwa pozostało niewiele.

• • •

Kobieta skręciła w prawo, w kierunku Nowego Meksyku, a milę dalej w lewo, na południe, w kierunku starego Meksyku. Sukienkę na przodzie miała wygniecioną, tak jakby nosiła ją już drugi dzień. Subtelny zapach perfum mieszał się z mroźnym powietrzem dmuchającym z nawiewników w desce rozdzielczej.

— To Pecan warte jest obejrzenia? — spytał Reacher.

— Pecos — skorygowała.

— No tak, Pecos.

Wzruszyła ramionami.

— Mnie się podoba — powiedziała. — Większość mieszkańców to Meksykanie, a więc dobrze się tam czuję.

Jej prawa dłoń mocniej zacisnęła się na kierownicy. Zobaczył ścięgna napinające się pod skórą przedramienia.

— Lubi pan Meksykanów? — spytała.

Teraz on wzruszył ramionami.

— Tacy sami ludzie jak inni.

— Nie lubi pan ludzi?

— To zależy.

— A lubi pan kantalupy?

— Taki sam owoc jak inne.